

Jonathan Marray: Uwielbiam poczucie humoru Mariusza Fyrstenberga, Frederika Nielsena, dobrego steka i... hokej na lodzie!

zibi · 2 grudnia, 2022



Rozmowę poprowadził Tomasz Lorek (Polsat Sport)

Wyluzowany jegomość Jonathan Marray usiadł wygodnie na korcie treningowym w hali w Bratysławie. Urodził się w Liverpoolu, grał olśniewająco dostojnym, jednoręcznym bekhendem, a nade wszystko uwielbia dystans do świata. Lubi humor Johna Cleese'a, dobrą lekturę i polskich deblistów.

Czy będąc urodzonym na Wyspach i marząc o występie na kortach Wimbledonu można przypuszczać, że w drodze po tytuł mistrza w deblu rozegra się aż cztery pięciosetowe mecze u boku Duńczyka? Otóż można. W 2012 roku Jonathan Marray stoczył aż cztery maratony na wimbledońskiej trawie. Spośród sześciu zwycięskich meczów, aż cztery wygrał w pięciu setach u boku Frederika – wnuka Kurta Nielsena, który również kocha abstrakcyjny humor...

Marray wygrał w karierze trzy turnieje deblowe, w tym dwa na kortach trawiastych. Oba skalpy w grze podwójnej złowił na kultowych terenach: Newport i Wimbledon. Ponadto Jonathan dołożył triumf w indyjskim Chennai.

Spokojna, wrażliwa dusza z Anglii wie, co w życiu cenne oprócz futbolu, hokeja na lodzie i znakomicie wysmażonego steka. Panie i Panowie: kurtyna w górę, Jonathan Marray!



Jonathan, pamiętasz swój pierwszy challengerowy tytuł w walijskim Wrexham?

– Z Markiem Hiltonem, prawda?

Racja. Z Markiem Hiltonem.

– Prawdopodobnie był to Mark. Kopę lat minęło od tamtego turnieju w Walii...

Zapamiętałeś cokolwiek z występu w Wrexham?

– Ee... Niewiele. To było wieki temu. Przypomnisz mi, który to mógł być rok? Daję głowę, że więcej niż dekadę temu...

2005, końcówka stycznia.

– Sporo czasu minęło... Pamiętam, że z Markiem graliśmy w debla przez ładnych parę sezonów. Z Hiltonem łączyła mnie chemia. Dobrze czułem się w towarzystwie Marka. Myślę, że wstydu nie przynieśliśmy naszą grą. Jeżeli się nie mylę, to pewnego roku osiągnęliśmy III rundę Wimbledonu. Potem Mark zaprzestał grać. Zdrowie mu nie pozwoliło na dalsze tenisowe szaleństwa. Wciąż się kumplujemy. Byłem świadkiem na jego weselu!

To się nazywa kumpel. Świadek na weselu: brzmi dumnie.

– Tak, jesteśmy w stałym kontakcie. Lubię Marka.

A gdzie odbyło się wesele? Na zamku w Edynburgu, na którym koncertował Mike Oldfield?

– Nie. Mark pochodzi... Do diaska, skąd Mark pochodzi? Już mam! Z okolic Manchesteru. A osiedlił się w Nottingham. Tak, wesele odbyło się w Nottingham.

Pochodzisz z Liverpoolu, ale...

– ...Urodziłem się w Liverpoolu, choć dorastałem w Sheffield.

Ach, Sheffield! Podejrzewam, że chodziłeś na żużlowe mecze Tygrysów z Sheffield na torze Owlerton?

– Nie (*śmiech*). Nigdy nie zakochałem się w speedwayu.

Niemożliwe. Nigdy nie założyłeś na szyję szalika Sheffield Tigers?

– Skądże. Ale zaraz, zaraz. Pamiętam, że speedway odbywał się na tym samym obiekcie, na którym organizowano wyścigi psów! Tak, żużel gościł na tym samym stadionie, na który chodziłem oglądać wyścigi psów. Oglądałem rywalizację piesków, ale nigdy nie widziałem na żywo żuźla. Speedwaya nie liznąłem, ale jestem wielkim kibicem piłki nożnej.

Komu kibicujesz w futbolu?

– Jestem wielkim fanem Liverpoolu, ale bardzo trudno zdobyć bilety na mecze „The Reds”.

Czyli zdobyć wejściówkę na Anfield Road to marzenie ściętej głowy?



– Tak bym to ujął...

Czyżby Kenny Dalglish był jednym z twoich piłkarskich idoli?

– Tak, oczywiście. Kenny był u schyłku kariery, kiedy ja zaczynałem jarać się futbolem. Pamiętam Dalglisha. Fenomenalny piłkarz.

Kto oprócz Dalglisha zamieszkał w Twoim sercu? Może Ryan Giggs?

– O, nie! Ryan Giggs kojarzy się z Manchesterem United. Jako fan Liverpoolu, nie mogę wspierać kogokolwiek z United! (*śmiech*) Steven Gerrard był jednym z moich ulubieńców. Wtedy, gdy Steven szalał w linii pomocy, byłem nastolatkiem, więc to naturalne, że go podziwiałem. Nazwałbym Gerrarda swoistym talizmanem Liverpoolu. Było mi przykro, kiedy Steven odchodził do Los Angeles Galaxy. Ucieszyłem się ogromnie, gdy Gerrard wrócił, aby prowadzić juniorów z Liverpoolu.

Co ciekawego jest w Sheffield, że tam wylądowałeś jako brzdąc?

– Przenosiny wynikały z faktu, że moi rodzice przeprowadzili się do Sheffield, kiedy ja byłem dzieckiem. Tata zmieniał miejsce pracy, więc naturalnym ruchem była przeprowadzka z Liverpoolu. Cały okres mojego dojrzewania kojarzy mi się z Sheffield.

Jonathan, kiedy awansowałeś do finału debla Wimbledonu, był to pierwszy przypadek od 52 lat, kiedy angielski deblista zameldował się w finale gry podwójnej.

– Nie wiedziałem o tym...

Odczuwałeś wyjątkowy balast, związany z grą w finale jako przedstawiciel gospodarzy?

– Nie miałem gęziej skórki. Ekscytacja wynikała z faktu, że awansowałem do finału z Frederikiem Nielsenem. O czymś takim, jak finał Wimbledonu marzyłem od dziecka. To zrozumiałe, że jako młody Anglik, oglądający Wimbledon co roku w telewizji, chciałem kiedykolwiek zagrać na tych kortach i wygrać ten turniej. Większość tenisistów, nie tylko tych pochodzących z Wysp, marzy o tym, aby zagrać na Wimbledonie. Finał debła był dla mnie niczym sen. Nie znałem odniesienia historycznego, nie miałem pojęcia, kiedy ostatni Anglik grał w finale debła Wimbledonu. Odczuwałem ogromną radość, że dotarłem do finału gry podwójnej. Wiem, ile ten sukces oznaczał dla mojej rodziny, dla przyjaciół, dla tych, którzy wspierali mnie na przestrzeni kariery. Pokochałem ten moment na wieki, kiedy wchodziłem na kort centralny. A z racji, że wygraliśmy finał Wimbledonu z moim duńskim partnerem, czyni tę sytuację jeszcze bardziej wyjątkową.



Wygrany finał Wimbledonu. Para deblowa Jonathan Marray i Frederik Nielsen.

Trawa zawsze była Twoją ulubioną nawierzchnią?

– Sądzę, że tak. Nie dorastałem na kortach trawiastych, ale oglądając co roku Wimbledon i grając jako junior w turniejach poprzedzających Wielkiego Szlema, musiałem liźnąć trawę, która dla Brytyjczyków jest dość naturalnym środowiskiem. Tenisowe lato Wyspiarzom kojarzy się z trawą. Jako młody chłopak często trenowałem na szybkiej nawierzchni dywanowej. Głównie grywałem w hali, więc dywanowa nawierzchnia była jeszcze szybsza niż trawa i piłka niżej się odbijała niż na świeżym powietrzu, a zatem przygotowałem się znacznie do gry na Wimbledonie. Myślę, że ten oldschoolowy styl i możliwości treningu, jakie miałem w młodości, naturalnie przybliżyły mnie do gry, która sprawdza się na trawie. Lubię grać serve & volley.

Trochę w stylu Tima Henmana.

– Tak (*śmiech*), ale trochę mi do niego brakuje. Tim był u szczytu sławy i czwartym singlistą świata, kiedy ja dorastałem, więc to oczywiste, że naśladowałem go i inspirowałem się jego grą. Henman to klasa.

A zatem dorastałeś na kortach twardych w hali, niezbyt bardzo różniły się te warunki od hali w stolicy Słowacji, w której siedzimy, tak?

- Zgadza się. Korty twarde, hala. To było moje środowisko. Włóczyłem się po Anglii grając na kortach twardych. Nie pamiętam, żebym grał na kortach ziemnych jako nastolatek. Brytyjska aura sprzyja grze w hali. Zjednoczone Królestwo jest skazane na grę w hali.

W Sheffield infrastruktura była przyzwoita?

- W porządku. Nie narzekałem. W lokalnym klubie tenisowym, do którego uczęszczałem, były przyzwoite kryte korty. Dziś już nie ma tam takiej dywanowej nawierzchni, na której grywałem, tylko są korty twarde. Ja dorastałem na bardzo szybkiej nawierzchni, szybszej niż większość nawierzchni w ATP Tour, co miało swoją dobrą stronę, bo przywykłem do dużych prędkości. Na swój sposób jestem szczęściarzem, że trafiłem na czasy, kiedy uczono gry na dywanie.

Skoro lubisz prędkość, to przyjąłbyś zaproszenie od Lewisa Hamiltona, aby wpaść na padok F1 na tor Silverstone, czy bolidy nie robią na tobie wrażenia?

- Myślę, że byłbym podekscytowany, gdyby taka propozycja się pojawiła. Nie jestem zagorzałym fanem F1, który namiętnie śledzi każdy wyścig, ale czytam gazety, oglądam serwisy sportowe w telewizji i wiem kto jest na topie w F1. Nie wysiedziałybym kilku godzin przed telewizorem, aby śledzić kwalifikacje i wyścig, to nie dla mnie, ale wiem, co się dzieje w F1. A jeżeli miałbym zajrzeć za kulisy F1 i otrzymać wejściówkę VIP-a na Silverstone, to chętnie bym się wybrał na padok. Wszystkie topowe dyscypliny noszą w sobie coś intrygującego i zawsze można się czegoś nauczyć zaglądając za kulisy. Myślę, że dla samej atmosfery warto byłoby się wybrać na wyścig i obejrzeć z perspektywy padoku zaangażowanie ludzi, którzy pracują przy tak gigantycznym projekcie.

Byłbyś wręcz onieśmielony klimatem padoku F1?

- Tego nie wiem, ale słyszałem, że panuje tam spory hałas, więc, aby ocalić słuch przed nadmiarem decybeli, zabrałbym z domu słuchawki. Albo przynajmniej wtyczki do uszu. Nie odmówiłbym. Z przyjemnością wybrałbym się na taki wyścig.

Jonathan, w swojej książce biograficznej zatytułowanej „Hitting back”, Andy Murray ze wzruszeniem opisuje młode lata, kiedy specjalnym autokarem jechał na korty Wimbledonu. Kiedy już dotarł na korty, marzył o autografie Andre Agassiego, ale nie miał takowej szansy. Wówczas obiecał sobie, że kiedy zostanie gwiazdą tenisa, spełni każdą prośbę o autograf, bo zna smak zawodu, który odczuł jako dziecko.

- Rozumiem Andy'ego. Po raz pierwszy zobaczyłem na własne oczy Wimbledon, kiedy wybraliśmy się na wycieczkę z mojego klubu tenisowego. Rozbiliśmy namioty, ustawiliśmy się w słynnej kolejce. Kemping ma swój smak. Pamiętam, że gdy już weszliśmy na korty, wybiła jedenasta, a ja nie spałem całą noc. Po południu oczy tak mi się kleiły do snu, że nie wytrzymałem i zasnąłem. Chrapałem na kortach! Nie przygotowałem się należycie, aby oglądać tenis przez cały dzień. Pomimo mojego falstartu, Wimbledon jest inspiracją. Zobaczyć na żywo gwiazdy tenisa, przejść się alejkami wśród kortów: magia. Owszem, w telewizji też jest wszystko ładnie pokazane, ale kiedy jesteś na miejscu, jeszcze bardziej doceniasz wkład pracy tenisistów i widzisz, jakim talentem są obdarzeni. Wizyta na Wimbledonie z pewnością jest bardzo motywująca. Sprawia, że budujesz w sobie wiarę, że jeżeli wytrwasz w ciężkiej pracy, to pewnego dnia wejdiesz na te korty jako

zawodnik. W moim przypadku tak było. Głęboko wierzyłem, że będę rozwijał talent i któregoś dnia wystąpię na Wimbledonie. Duże imprezy napędzają młodych ludzi. Nikogo nie trzeba zachęcać, aby grał na Wimbledonie.



Byli mistrz Wimbledonu z 2002 roku - Australijczyk Lleyton „Rusty” Hewitt wyznał kiedyś, że dostaje gęsiej skórki, wychodząc na kort centralny. Miałeś podobne odczucia, kiedy wyszedłeś na kort, aby w finale debla 2012 zmierzyć się z Horią Tecau i Robertem Lindstedtem?

- Oczywiście. Nigdy wcześniej nie miałem okazji zagrać na korcie centralnym Wimbledonu. Bywało, że siedziałem na trybunach kortu centralnego, aby podziwiać w akcji innych graczy. To dom i prawdziwa świątynia tenisa. W szczególności dla Brytyjczyków. Jeśli parasz się zawodowo tenisem, to twoim celem jest występ na Wimbledonie. Choćby to miało nastąpić raz w życiu. Wczesnym rankiem w dniu finału debla włóczyłem się wokół kortu i chciałem przesiąknąć atmosferą tego miejsca. Zobaczyłem ten kort z bliska, bo chciałem przywyknąć do atmosfery kultowego miejsca. Tylko ludzie, którzy na nim grali, są bogaci w doświadczenie. Ja byłem żółtodziobem. Nie chciałem czuć się obco na korcie centralnym, wolałem zbadać otoczenie i rozeznać się w terenie.

Może jeszcze Andrew Jarrett zna smak kortu centralnego, gdyż przez 14 lat był szefem sędziów na Wimbledonie, więc mógł do woli muskać trawę.

- O, tak. Racja. Tak, Andrew czuł się tam jak ryba w wodzie. Pamiętam, że on był niczym eskorta wprowadzająca mnie na kort centralny przed finałem debla! Dan Blocksom wywiązał się rewelacyjnie z roli szefa stewardów. Andrew Jarrett zaprosił mnie o brzasku, abym zobaczył z bliska, jak pachnie trawa na korcie centralnym w dniu finału. Grzecznie zapytałem, czy mogę odbyć taką peregrynację, uzyskałem zgodę od stewarda Dana Blocksoma i Andrew mnie eskortował. Nie pamiętam, czy było to po naszym treningu z Frederikiem Nielsenem, czy tuż przed treningiem. Miłe wspomnienie, bo chodziłem po trawie w dniu finału singla pań.

Ach, czyli zatroszczyłeś się również o Frederika?

- Tak, odbyliśmy spacer po trawie w towarzystwie mojego duńskiego kolegi. Inne emocje targają tobą, kiedy chodzisz po korcie i wiesz, że do finału pozostało sporo czasu, a inne, kiedy już się rozgrzewasz i myślisz

o pierwszej piłce finału.

W finale korzystałeś z luzu, jaki wnosi na kort Frederik?

- Tak. On dba o właściwy nastrój. Zdjął ze mnie presję. Uświadomił mi, że lepiej dobrze czuć się na korcie niż pozwolić, aby stres mnie zżarł. Oczywiście, że finał Wimbledonu, jaki by nie był, jest wielkim wyczynem, ale nie wolno podporządkować się stresowi.

Czy mistrzów debła zaprasza się na bal po Wimbledonie?

- Tak. Jest taka tradycja. Bal odbywa się po niedzielnym finale singla. Otrzymaliśmy zaproszenie na tą miłą uroczystość. To oczywiście, że było bosko! Nigdy, nawet w najśmielszych snach nie przypuszczałem, że będę gościem na balu po Wimbledonie.

Nie musiałeś tańczyć ze swoim partnerem deblowym?

- Nie, nie, co to to nie! Dziękuję Bogu, że nie musiałem. Nie wiem, czy Freddie jest świetnym tancerzem, ale nawet gdyby miał płynne ruchy na parkiecie, to nie przyjąłbym oferty tańca. (*śmiech*) Pamiętam, że dobrze nas nakarmiono. Mistrzyni singla Serena Williams i mistrz singla Roger Federer pojawili się na scenie. Było elegancko. Krótkie przemówienia etc... Szef klubu Wimbledonu wyszedł na scenę. Też mówił o miłych sprawach. Było uroczo. Super, że mogłem przeżyć taką uroczystość.

Otrzymujesz przywileje, kiedy zostajesz mistrzem Wimbledonu w deblu? Wchodzisz do klubu, możesz napić się szampana, obejrzeć mecz z łoża, itd.?

- Nie posiadamy aż takich przywilejów jak singliści. Oni są członkami klubu. W singlu jest tak, że jeżeli osiągniesz ćwierćfinał Wimbledonu, masz przepustkę do klubu Last Eight do końca życia. Możesz również zaprosić jednego gościa w swoim imieniu, co jest wspaniałym gestem. Miałem dobre przeczucie, bo w 2012 roku złożyłem aplikację, aby być członkiem wimbledońskiego klubu. Teraz mam tymczasową legitymację. W tym samym roku wygrałem finał debla. Chodzi o to, abyś korzystał z klubu, chodził na korty i był grzeczny. Jeśli nie podpadniesz nikomu i nie popełnisz wykroczenia, wówczas przez kilka lat posiadasz status tymczasowego członka, a potem możesz ubiegać się o stałą kartę. A to już oznacza szerszy zakres przywilejów. Nie tylko podczas trwania turnieju.

Próbowaleś truskawek przed finałem debla?

- Uwielbiam truskawki. Zawsze przez dwa tygodnie trwania Wimbledonu zajadam się truskawkami.

Truskawki są częścią specjalnej diety Jonathana Marraya?

- Nie, skądże! (*śmiech*) Zwyczajnie lubię truskawki. Na Wimbledonie lubię ponadto scones.

Cóż to takiego?

- Rodzaj bułeczek jadanych z masłem, dżemem i śmietanką. Bardzo typowe angielskie jedzenie. Niezbyt dobre dla zawodowego tenisisty, ale urzekająco kusi. Muszę trzymać się z dala od scones, żeby dbać o linię.

Jonathan, czy w drugim życiu chciałbyś być drewnianą raketą czy żdźbłem trawy na Wimbledonie?

- Drewnianą rakietą czy żdźbłem trawy? Wspaniałe pytanie. Nie sądzę, żeby rakietą czy żdźbłem trawy było dobrym wyborem na drugie życie.

Może już lepiej być struną gitary Jimmy'ego Hendrixa?

- O tak, brzmi lepiej. Z trojga elementów wybrałbym jednak żdźbło trawy na Wimbledonie. Wówczas będąc fragmentem trawy, oglądałbym za darmo z wyjątkowej perspektywy najlepsze mecze na Wielkim Szlemie.

Minusem byłoby stąpanie po tobie butami...

- Tak, to ta gorsza strona rozwiązania, kiedy ktoś stąpa po trawie, czyli po mnie. (*śmiech*)

Czy masz ulubionego wykonawcę muzycznego?

- W tym departamencie jestem słaby. Nie potrafię wymienić ulubionego muzyka.

Jako człowiek urodzony w Liverpoolu...

- ...Pewnie powinienem odpowiedzieć, że kocham The Beatles, ale nie mam ulubionej kapeli. Słucham wszystkiego, co leci w radio. Lubię różnorodność w muzyce, ale...

...Nutki wlatują ci jednym uchem, a wylatują drugim?

- Tak. Lubię dźwięki, ale nie mam ukochanego wykonawcy czy autora tekstów.

Co sądzisz o polskim deblu?

- Dość dobrze znam Mariusza Fyrstenberga. Znam go lepiej niż Marcina Matkowskiego. Żartowniś. Polscy debliści są lubiani w tourze. Mariusza wszyscy lubią. Zawsze zagada, pożartuje, nie buduje mostów. Kontaktowy facet. Mariusz jest prawdziwy, nie udaje nikogo. W jego towarzystwie każdy dobrze się czuje.

Znam tylko jeden brytyjski klub w hokeju na lodzie: Swindon Wildcats. Czy wizyta na challengerze w Bratysławie sprawia, że korci cię, aby pójść na mecz hokeja na lodzie? Słowacy uwielbiają hokej.

- Znam klub Sheffield Steelers. Podejrzewam, że nie jest to tak wysoki poziom sportowy, jaki prezentują Słowacy, ale hokej świetnie się ogląda. Kiedy miałem 13 czy 14 lat, chodziłem na mecze hokeja na lodzie i kibicowałem Sheffield Steelers. Bardzo mi się podobały te pojedynki na tafli.

Jeździsz na łyżwach?

- Nie umiem jeździć na łyżwach, więc ograniczyłem się do roli kibica. Hokej to bardzo dynamiczny sport, ekscytujący, sporo się dzieje. Z chęcią obejrzałbym dobry mecz hokeja w Bratysławie.

Myślałeś o sportowej emeryturze? Kończysz zawodową grę w tenisa i przeprowadzasz się na tereny tonące w ciszy. Słowacja słynie z przepięknej przyrody. Potrafiłbyś mieszkać na peryferiach miasta albo z dala od cywilizacji?

- Nie mam pojęcia. Prawdopodobnie nie wytrzymałbym zbyt długo w leśnej głuszy. Lubię, kiedy sporo się dzieje, więc miasto mi służy. Nie potrafiłbym zamieszkać w ścisłym centrum metropolii. W Sheffield podobały mi się

peryferie. Wokół Sheffield jest przepiękny park narodowy i sporo przyrody. Moja dziewczyna, podobnie jak ja, lubi włóczyć się i spędzać czas na powietrzu, więc łączy nas miłość względem natury.

Twoja dziewczyna jest tenisistką?

– Nie, choć lubi być w ruchu, lubi być aktywna.

Pracuje w biurze?

– Nie. Jest naukowcem w dziedzinie sportu.

Intrygujące.

– W pewnym stopniu jest zaangażowana w tenis. Poprzez naukę.

Jak ma na imię?

– Emma. I podobnie jak ja... Emma lubi hokej na lodzie. Bardzo aktywna dziewczyna, nie lubi zbijać bąków. Nawet w weekendy trudno utrzymać ją w domu. Uwielbia coś robić: biegać, relaksować się, ale zawsze aktywnie. Pasuje mi, bo ja też nie lubię siedzieć na sofie. Wiecznie coś robimy z Emmą.

Życzę Tobie, abyś po zakończeniu kariery, która zawierała kilka cennych sukcesów, mógł odpocząć przy lampce wina. Abyś czasami mógł sobie pozwolić na porcję fish & chips.

– Ja lubię fish & chips. Niestety, gdy gram, nie mogę pozwolić sobie na cokolwiek smażonego na głębokim tłuszczu. Jestem wielkim fanem dobrej kuchni. Steki, dobrze wysmażone... Uwielbiam zjeść dobrego steka. Sos do tego, taki trochę australijski klimat. Niezdrowe jedzenie jest po prostu smaczne!

KANWA
APARTAMENTY

ZAMOYSKIEGO 24/26
WARSZAWA

PRZESTRZEŃ, KTÓRĄ TWORZYSZ
Apartamenty na warszawskiej Pradze
z widokiem na Jezioro Kamionkowskie

SPRAWDŹ OFERTĘ →



moderna
Superior living

Czytasz „The Guardian”?

– O tak. Czytam „The Guardian” i tygodnik „The Observer”. Moje ulubione gazety. Jestem wielkim fanem poranków przy znakomitej kawie i zacnej lekturze. Weekend z dobrą prasą: to jest to! Z mlekiem. Po australijsku.

Byłeś zachwycony widząc awans Brytyjczyków do finału Pucharu Davisa w Gandawie w 2015 roku?

– Cudowne chwile. Rzecz jasna lokomotywą kadry jest Andy Murray, ale wielu innych tenisistów miało wkład w sukces. Jamie Murray to fenomenalny deblista. Nastroje w narodzie są pozytywne odnośnie przyszłości męskiego tenisa na Wyspach.

Dominic Inglot: kolejna zająca postać.

– Tak, Dom to dobry deblista. Leon Smith, kapitan kadry wykonał kawał roboty. Kapitana zawsze bronią wyniki. Leon umie stworzyć atmosferę potrzebną do sukcesu.

Pamiętam, jak Polacy grali we wrześniu w 2009 roku w Liverpoolu w Pucharze Davisa w Echo Arena.

Rok później Leon Smith przejął kadrę po Johnie Lloydzie i zaczął się marsz w górę.

– Tak, to prawda. Nigdy nie byłem wkręcony w detale wyborów kadrowiczów. Niemniej jednak, Davis Cup to wspaniały turniej. Byłem trzykrotnie powołany do kadry, lecz zagrałem tylko raz, ale to kapitalne rozgrywki.

Raz, ale jak! Wygrałeś deblowy mecz w 2013 roku w Coventry przeciwko Rosji, mając u boku Colina Fleminga.

– Davis Cup to przede wszystkim zachwycająca atmosfera. Totalnie odmienna od tego, co robimy co tydzień. Zespół, a nie soliści. Towarzyszy temu presja, ale czujesz wsparcie kolegów, ich zaangażowanie. To przywilej grać dla reprezentacji. Ogromna frajda, bo przez cały sezon gra się dla samego siebie. Nie sądzę, abym powiększył mój dorobek reprezentacyjny, bo raczej zawiodłem kolegów, ale było miło.

Urodziłeś się w złotym roku dla tenisa. 1981... Wspaniały rocznik. Przyszli wtedy na świat tacy fachowcy, jak Lleyton Hewitt i Roger Federer.

– Tak. Niestety, nie mogę być umieszczony w tej samej kategorii, co Lleyton czy Roger. (*śmiech*) Czuję, że nieuchronnie się starzeję. Paru chłopaków z tego rocznika wciąż ciągnie wózek. Roger wygrał Puchar Davisa w 2014 roku. W sumie czego Rogerowi brakuje? Złota olimpijskiego w singlu, prawda?

W sumie tylko złota na igrzyskach w singlu, bo w deblu wygrał ze Stanem Wawrinką w 2008 roku w Pekinie.

– Racja. Wszystko poza złotem IO w singlu. Roger miał przyzwoitą karierę, nieprawdaż? Trochę poodbijał piłkę... Dość nieźle mu szło.

Jesteś zodiakalną Rybą. Jakie są plusy i minusy Ryby?

– Nie mam zielonego pojęcia. Leżę z Zodiaku.

Nie przywiązujesz wagi do znaków Zodiaku? Spotkałeś Emmę i spytałeś ją: spod jakiego znaku jesteś? Sprawdzisz się w miłości etc.

– Wyobraź sobie, że nie mam pojęcia spod jakiego znaku jest moja Emma.

I tworzycie szczęśliwy związek! Brawo.

– Otóż to. Nie wierzę w dopasowywanie się osób pod kątem znaków Zodiaku.

Ostatnie pytanie. Spośród tenisistów, których znasz, który z nich jest najbliższy poczucia humoru godnego cyrku Monty Pythona?

– Cóż... Mariusz Fyrstenberg jest bardzo bliski poczucia humoru a la John Cleese. Freddie Nielsen też lubi abstrakcyjny humor. Mój partner ze zwycięskiego Wimbledonu uwielbia stare dowcipy w angielskim stylu. Freddie Nielsen jest dziwakiem i lubi bardzo osobliwe poczucie humoru. Jest zdrowo szurnięty. I za to go lubię.

John Cleese wiecznie żywy, Jonathanie.

– Dziękuję, Tomaszu. To była uczta.

Jonathan Marray jest dowodem na to, że nie tylko sukces buduje pozycję tenisisty. Nade wszystko w cenie jest kolor duszy. Jonathan Marray to wymarzona osoba, aby odfrunąć w świat wyobraźni przy dobrej porannej kawie i tercji hokeja na lodzie...

Tomasz Lorek (Polsat Sport)



Czytaj online i udostępnij:

<https://tenismagazyn.pl/jonathan-marray-uwielbiam-poczucie-humoru-mariusza-fyrstenberga-frederika-nielsena-dobrego-steka-i-hokej-na-lodzie/>